

Konstantin Opiatowicz

Złodziej kieszonkowy Konstantin Opiatowicz miał swoje codzienne, żelazne przyzwyczajenia, których nabrał podczas wielu lat spędzonych w miejscach odosobnienia. Gdy z samego rana w domu wyprasował już spodnie nagrzanym w tym celu blaszanym garnuszkiem, oczyścił buty niewielką i mocno zużytą, lecz zawsze gotową na podporządku aksamitną szmatką i nappełnił kieszenie suszącymi się w obfitości na parapecie skórkami od chleba, wyruszał zwykle na przejażdżkę wczesnym tramwajem do końcowego przystanku. Zszedłszy z asfaltowej drogi, wymijał ostrożnie kałuże na wąskiej, wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce i z przyjemnością kierował kroki na stary żydowski cmentarz. Żydzi, znani ze swojego uporu i trwania przy tradycji, trzymali się wciąż wielu dawnych zasad i z tego powodu ustronny cmentarz nadawał się doskonale, by właśnie tam mógł rozpocząć swój dzień szanowany złodziej kieszonkowy, jakim był Konstantin Opiatowicz. Jego niegdysiejszy towarzysz z kolonii karnej, odeski Żyd, opowiadał mu co ciekawsze anegdoty o sekretnych obyczajach owego nielicznego a prześladowanego narodu. Nie wszystko ostało się w pamięci, ale kładzione zamiast kwiatów na grobach małe kamyczki i przeznaczone jedynie cadykom

bajkowe światy, ukryte za miniaturowymi bramami oheli, działały na Opiatowicza przed zabranieniem się do roboty co najmniej krzepiąco. Później, po codziennej zmianie w tramwaju, zbyt ryzykownie byłoby jechać na koniec trasy tylko po to, by pospacerować. W ciągu dnia, gdy znużył się już hałaśliwym tłumem oraz opróżnianiem kieszeni i torebek, Opiatowicz zazwyczaj wypoczywał, przechadzając się między przystankami tramwajowymi i karmiąc gołębie noszonymi w kieszeniach skórkami od chleba. Lecz tutaj, w opuszczonym przez ludzi świecie milczących po hebrajsku kamieni, miał okazję, by ze spokojem przygotować się do codziennej krzątania. Idąc za wewnętrznym podszeptem, zatrzymywał się przy którymś z nagrobków i jakby mimochodem kładł na wilgotną od rosy płytę podniesioną ze ścieżki kamyk. Tak oto Opiatowicz ćwiczył specyficzną i bardzo istotną dla *karmanszczików* umiejętność, a do tego potrzebne są szybkie i zwinne palce. Wsłuchiwał się także w ciszę oraz w samego siebie. Jednocześnie, schylając się po leżące na ziemi kamienie, nie złamał nigdy starej złodziejskiej zasady – wiedział aż za dobrze, że nawet najbardziej sentymentalny złodziej kieszonkowy pod żadnym pozorem nie może sięgnąć po coś cięższego od portfela.

Po ostatnich wydarzeniach, gdy carska Rosja na nowo włączyła w swoje imperium Estonię, Łotwę i Litwę, zmiany dotarły nawet do tak prowincjonalnego miasteczka jak Viljandi. Było oczywiście i nieco dobrego, i nieco złego. Weźmy na przykład ten sam zdobyczny tramwaj, który po wielkich bitwach z Polską sprowadzono tu gdzieś spod Krakowa czy Warszawy razem z torami i całą maszyną z zajezdni. Emerycy z małego miasteczka tylko temu przyklasnęli

i szybko przyzwyczajono się do darmowego korzystania z wyplutych z dzioba dwugłowego orła, niewidzianych tu dotąd pojazdów. Tramwaj, tak jak i metro, na linii zmontowanej pieczołowicie przez moskiewskich inżynierów, poruszał się po Viljandi w niezwykle elegancki sposób, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę pagórkowate ukształtowanie terenu: nieopodał jeziora wjeżdżał w nowoczesne, przezroczyste tunele i pędził szaleńczo przez wzgórza zamkowe z brawurą górskiej kolejki, by dowozić do nowych osiedli wciąż rosnące masy mieszkańców. Opiatowicza polityka nie obchodziła, szanujący się złodziej nie współpracował z żadną władzą, ale tramwaj na różne sposoby przynosił wiele pożytku. Mówiąc zawodowym żargonem, Opiatowicz mógł z dumą przyznać, że gdy carski orzeł wylądował znów w ich bałtyckiej okolicy, on, jako dawny *sydent* (nie mylić z dysydem!), a obecnie, w miarę możliwości, *stiliaga* (a więc gość z wyczuciem stylu), nie musiał zmagać się z *depressniakiem* (tak ulubionym przez żyjących tu niegdyś Estończyków zamartwianiem się), lecz czynił wciąż to, co potrafił najlepiej. Przecież wahadło historii w ciągu ludzkiego życia może wiele razy odbić w drugą stronę. Poza tym znalazł sobie paru serdecznych kompanów w znajdującym się w śródmieściu antykwariacie, gdzie tak dobrze było po codziennym rwetesie w tramwaju odpocząć i porozmawiać jak człowiek.

I tak rozmyślając niespiesznie, Opiatowicz zrobił małe okrążenie, podziwiał rzucone tu i tam, niczym kostki w przerwanej grze w domino, nagrobki, które, pochylone to w przód, to w tył, przypominały mu stare dobre czasy, kiedy należał jeszcze do sztywnej ryskiej szajki, tak właśnie spędzającej wieczory – na długich, czarno-białych rozgrywkach. Zresztą również

to prawdziwe domino wiązało się często z jakimś tru-
poszem! Razu pewnego Opiatowicz znalazł się za sto-
łem w pewnym bunkrze na Pardaugawie, gdzie odkrył
przybity pod blatem futerał na nóż; po broń można
było sięgnąć, jak tylko sprawy źle się potoczyły. Tak-
że i on nosił krótko za młodu biały szal i fiński nóż,
ale nigdy nie podniósł ostrza na człowieka. Nie licząc
oczywiście monet o zaostrzonym rancie, którymi rozci-
nał torby i torebki. Teraz pozostały mu tylko tramwaje,
wracające z targu baby i ich chude portmonetki... Choć
na szczęście miał jeszcze swoje melodie! Jak przyjem-
nie było podczas spaceru tu, w królestwie cieni, zanucić
choćby starą pocziwą *Murkę* albo *Córkę prokuratora*,
albo szczególnie pasującą do cmentarza *Słodką jagodę*.
Życie okazywało się nie takie złe! Mogłaby co prawda
być jeszcze kobieta – ale wiadomo, kto nie ma szczęścia
w miłości, ten... Ledwie wczoraj odszukała go pewna
młoda niewiasta o znaczącym przydomku Murka, pro-
sząc go, autorytet w mieście, o pozwolenie na działanie.
Piękna była jak księżniczka ciemności, chłopcy z Vil-
jandi widocznie się jej bali, mówili, że zabiera im chleb
z rąk, zwinna miała być jak diablica... O, tak, mogła-
by się taka znaleźć u jego boku! Pozwolenie dziewczę
oczywiście dostało, nie wahał się ani chwili.

Stąd myśli Opiatowicza popłynęły dalej, do królo-
wej wszystkich gier, bilardu. Oto prawdziwie wielka
filozofia, większa niż potrafią pojąć profesorscy oku-
larnicy z uniwersytetów! Weźmy choćby kulę, zwaną
durakiem, która jedynie czystym przypadkiem potoczy
się do kieszeni w stole. Zupełnie jak w życiu, gdy czło-
wieka, który znalazł się w niewłaściwym miejscu, trafi
miażdżący cios i... na stos! Albo, jeśli spojrzeć na rzecz
z innej strony, gdy nie wiedzieć czemu ktoś ma wciąż

wielkie i niesłychane szczęście, i choć sam nie odgrywa żadnej ważnej roli, nic się go nie ima, a on gapi się tylko dookoła z rozdziawioną gębą jak owca ciągnięta na rzeź. Lecz nagle bum i... w złocie albo w błocie! Dawny towarzysz z celi mówił, że Żydzi chowają umarłych stosunkowo prędko po zgonie i zawsze w pozycji siedzącej. Znowu, jakie to interesujące! Jakież bogate jest życie! Zdaje się, że wszyscy zmarli Żydzi siedzą pod ziemią jak w tramwaju i zmierzają nim na Sąd Ostateczny, do Jerozolimy lub do co-ich-tam-na-końcu-czeka. W podziemnych tramwajach, jasna sprawa, złodziei nie ma... Choć, ot, ot, kim są wówczas hieny cmentarne? Dopiero co pisano w ich dwujęzycznej prowincjonalnej gazecie, jak remontujący pobliski kościół w Suure-Jaani restauratorzy z petersburskiego Ermitażu wypili z naczynia umieszczonego na obelisku jakiegoś bałtyckiego Niemca cały spirytus, a w naczyniu przechowywano jego serce! O, tak, ciekawe jest to światowe życie, bez wątpienia! Pełne niespodzianek! Przebogate!

I tak dyskutując z samym sobą i uśmiechając się na początek pięknego dnia rozpoczynającego się w małym miasteczku carskiego imperium zwanym wciąż Viljandi, złodziej kieszonkowy Konstantin Opiatowicz skierował się z powrotem na przystanek. Zatrzymał się jeszcze na chwilę przed wysokim nagrobkiem, na którym wyrzeźbiono menorę. W tym miejscu stary kieszonkowiec zawsze przecierał swoje buty szmatką. Dzisiaj musiał nawet zdjąć z nogi jeden but, bo w podeszwę wbił się drobny kamyk. Gdy Opiatowicz podniósł potem oczy, w zdumienie wprowadziła go niespotykana barwa zarośli. Na tle otaczającej cmentarz zieleni jeden z krzewów zdawał się szkarłatny niczym pożar!

Obcy

Tramwaj nadjechał z okropnym hukiem i zgrzytem, jakby nadciągał nim bandzior z przewieszonym przez ramię tamburynem, pamiątką po rozrywkowej nocy. Opiatowicz ze zdziwieniem dostrzegł, że wagon nie jest pusty; na wprost środkowego wejścia siedział mężczyzna owinięty wypłowiałym i wystrzępionym, brązowym szalem. Na głowie ów obcy *stiliaga* miał karakułową czapę z daszkiem, przypominającą starodawną harmonię lub olbrzymią, zwiniętą z materiału ślimaczą muszlę. Obok jego siedzenia, mimo że tramwaj dopiero niedawno ruszył w swoją codzienną trasę, podłoga była mocno zapiaszczona, gdy więc Opiatowicz mijał dziwaka, musiał wykonać precyzyjny krok w bok jak w rumbie, by oszczędzić buty. Tacy odmienicy nigdy nie byli na jego celowniku, ich nieprzewidywalność mogła przynieść jedynie kłopoty; ponieważ jednak widział jak na dłoni, że ten ludzki upiór wsiadł na poprzednim przystanku, czyli na nowym prawosławnym cmentarzu, Opiatowicz jako zawodowiec postanowił zaryzykować. Nie ma przecież bardziej roztargnionych i zagubionych niż ci grzebiący i opłakujący swoich zmarłych! Żałobników i pogrążonych w smutku wszyscy na tym świecie wodzą za nos – począwszy od sprzedawców trumien

i grabarzy aż do dziada, który gra na tubie i rozsiewając wokół siebie zapach wody kolońskiej i zataczając się na nogach, po wielokroć przychodzi z żądaniem zapłaty. A ci głupcy oczywiście płacą! Płaczą i płacą! Dodajcie cynicznych restauratorów i różnego rodzaju zawodowych organizatorów styp. To jednak twardy biznes. Wątpliwe, by uczciwemu złodziejowi w ogóle coś zostało po tych szkalach nieznających bojaźni bożej. Ale spróbować trzeba!

Opiatowicz usiadł za obcym i natychmiast poczuł słodkawą woń stęchlizny, dziwną mieszanekę cerkiewnych kadzideł i intymnych problemów starego człowieka. Walcząc z obrzydzeniem, raczej z ciekawości niż z chęci zysku wsunął dłoń w kieszeń wełnianego płaszcza. Oho... Była od środka obszyta luksusowym futrem, choć do tego... pełna piachu! Złodziej z przestachem cofnął rękę, gdy usłyszał, że nieznajomy mamrocze pod nosem. Dało się zrozumieć dwa zdania: coś zdarzyło się za wcześniej i to, że ktoś go ostrzegał; wiele razy obserwując powtórzył słowo... malaria! Zaraz potem szaleńca ogarnęły wzmagające się dreszcze i szczęśliwym trafem losu z kieszeni jego płaszcza wypadł okazałych rozmiarów portfel z cielęcej skóry, gruby jak mały kaszalot. Usta Opiatowicza same zaczęły nucić *Murkę*.